



Róża Jabłkowska

# Jesień

Jesień. Nie ta niemila, szaro - bura, deszczowa jesień, ale ta kochana, słoneczna i ciepła, kiedy to z przyjemnością wędruje się do lasu na orzechy.

Las. Po jagodach już — ani śladu, za to czerwienią się wszędzie borówki. W wysokich, puszystych mchach, przy krzewach, u stóp drzew, sterczą sztywno, uroczyście, na nóżkach białych, szarych lub brązowych — rozłożyste kapelusze lub małe fantazyjne kapelusiki, wygięte modnie na bok, zmarszczone, czasem spiczaste lub wysokie, podobne do cylindrów. Znamy je wszyscy, prawda? To grzyby. Dobre, smaczne grzybki: prawdziwe gąski, maślaki i tyle, tyle innych, których się nie zbiera, bo są trujące.

Tuż przy brzegu lasu rosną ulubione przez dzieci krzewy leszczyny. Ach, co to za radość, gdy koszyczki większe i mniejsze napełniają się powoli orzeszkami, aż stają się czubate i trudno je udźwignąć! Zniosą dzieci orzechy do domu: mamusia wsypie w płócienny woreczek i schowa do śpiżarni — będzie potem bał na Boże Narodzenie. Ale dzieci są małe łakomeczuszki, więc coraz to słyszą głośnie „chrup”, i orzeszek — rozgryziony w buzi, aż wiewiórki się dziwią, że ludzie gryzą orzeszki, zupełnie tak jak one.

Wiedzą dzieci dobrze, że są to przysmaczki tych miłych, rudych stworzonek, więc wiele jeszcze orzeszków zostawiają na leszczynie. Wiewiórki zgromadza je potem do różnych swych śpiżarni, ukrytych w dziuplach drzew i to będą zapasy na długie, zimowe miesiące.

W głąb lasu dzieci same nie wchodzi, bo tam trochę straszno. Jest to już kró-

lestwo mieszkańców lasu. Wysokie, czerwone, sosny wyciągają swe gałęzie ku górze, aż do słońca. Dęby-olbrzymy stoją wyniosłe i dumne, niewzruszone niczym, ani burzą, ani zawieruchą. Żadne zmartwienie lub kłopoty mieszkańców lasu nie zdołają naruszyć ich nie zmałowanej powagi. O! bo te drzewa pamiętają tyle!.. Widziały wiele i przeżyły wiele. Cóż więc wobec wspaniałych czy strasznych dziejowych wydarzeń, których były świadkami, znaczyć mogą tak, według nich, drobne nieszczęścia, jak to, że kuna zabrała jajko sikorce, lub że piskle dudka spadło z gałęzi i potłukło się (wielki wtedy gwar i trajkotanie panowały w lesie, bo dudek jest bardzo przez wszystkich lubiany), albo — że wiewiórka zapomniała, gdzie schowała swoje orzeszki, bo miała kilka śpiżarni na wszelki wypadek, gdyby która z nich została zniszczona przez szkodnika. Taka porządnicka! taka gospodyni! Fi! fi! — kiwały nad tym wydarzeniem główkami pracowite sikorki.

Trochę na lewo od krzaków leszczyny, nie tak bardzo daleko od brzegu lasu, rośnie wspaniały, zielony jałowiec, pyszniający się swymi granatowymi jagódkami. Rośnie trochę odosobniony od innych jałowców, których tu jest dużo, bo jest dumny i nie chce mieszkać zbyt blisko swoich kuzynów, nie tak pięknych, jak on.

W okolo niego rozsiadł się puszysty mech, roztoczwszy szeroko swój zielony płaszczyk, i wygrzewa się w promieniach słońca, które tu zagląda.

Tuż przy jałowcu mieszka liczna rodzina państwa Rydzów która niedawno

przeżyła Żywną przygodę. Postuchajcie.  
— A właśnie, że pójdę sobie stąd, mamusiu! właśnie, że pójdę! — upiera się jakiś dziecinny głosik. — Tu wcale nie jest ładnie! Jakis tam klujący jałowiec i mech — owszem, dobry i miękki — ale ja chcę zobaczyć świat! — dręczy swą mamusię mały, śmiesznie brązowawo-czerwono wystrojony chłopczyk. To Rydzyk, mały synek państwa Rydźów spod jałowca.

— Do dzwonka leśnego przyleciała niedawno pszczołka — opowiada Rydzyk — i słyszałem, jak mówiła, że na łące (mamusiu! co to jest łąka? czy to to samo, co polana?), rosną takie śliczne, kolorowe, pachnące kwiaty, nie takie, jak tutaj: niepozorne konwalie i dzwonki — mówi pogardliwie Rydzyk. — Pszczołka mówiła, że nad tą łąką jest dużo, dużo nieba i słońce takie jasne, nie takie, jak u nas, w plamki, które tak śmiesznie tańczą na mchu. I... ja chcę sobie stąd pójść! — zawodzi płacząco grzybek.

— Ależ, synku — perswaduje Rydzykowi mamusia — my wszyscy zadowoleni jesteśmy z tego mieszkania. Patrz, jak twoi braciszki i siostrzyczki ciekawie rozglądają się wokoło! Przecież tyle jest do zobaczenia w lesie! O, widzisz, tu niedaleko mrówki wędrują, znosząc żdźbła trawy i suche igły sosnowe do mrowiska. A tu sunie powoli żuczek; widocznie zjadł dobry obiad i wędruje teraz na spacer. A podnieś trochę wyżej głowę — to zobaczysz takie wysokie pióropusze — to kwiaty traw. Widzisz? — te inne, a te inne. Tak się poważnie wachlują, bo straszny dziś upał. A ty masz tutaj cień i możesz nie bać się słońca. Na łące słońce przepaliłoby ci głowę, no — i byłaby niepotrzebna choroba. Cała rodzina Rydźów śmiałaby się z ciebie. Bo u nas w rodzinie nigdy nikt nie choruje — tu głos mamy zabrzmiał dumą. — Nawet ludzie wiedzą o tym i mówią o zdrowym człowieku, że jest zdrow, jak rydz. Na

łące mieszczą twoje ciocie Pieczarki, ale one mają duże kapelusze i słońce im krzywdy nie robi. A jak podniesiesz, synku, jeszcze wyżej głowę — o! tak wysoko! — to zobaczysz ptaszki, uwijające się pracowicie przy swoich gniazdach. Życie w lesie jest bardzo ciekawe; prawda, dzieci?

— Prawda, prawda, mamusiu! — zawołał chórem małe Rydźatka.

— A czy ci tu źle pod jałowcem? — tłumaczyła dalej mamusia. — Widzisz: po lesie chodzą takie wiejskie baby z dużymi koszami i ostrymi nożami — tu Rydzyki otworzyły szeroko oczki i ze strachu poczęły się tulić do mamusi i tatusia — baby te zabierają wszystkie grzyby, które nieostrożnie wychyliły się z mchu. Trzeba się przed nimi ukrywać, a tu właśnie pod jałowcem, w tym wysokim mchu, mamy świetne schronienie.

— Ale ja tu nie chcę mieszkać! — kaprysił Rydzyk — mnie się tu znudziło! Nie kocham lasu! Brzydki las! brzydki mech! Aaa! Aaa! Aaa!...

— Co ty wygadujesz! — rozgniewała się tym razem mamusia i już miała mu przyłożyć tęgiego klapsa, gdy nagle usłyszała gwar i hałas. To gromada dzieci z pobliskiej wioski przywędrowała do lasu na grzyby!

— Chować się, ba! — zabrzmiał ostrzegawczo i groźnie głos tatusia.

Uczyniło się zamieszanie; wystraszone rydzyki tuliły się, jak mogły, do rodziców i chowały główki we mchu. A najwięcej piszczał mały, niegreczny Rydzyk: — Mamusiu! mamusiu! Ukryj mnie! ukryj prędko! Aj, aj! aj! Już mi pewno głowę ucieli! — zawodził. Uczyniło się zupełnie cicho. Państwo Rydźowie z niepokojem śledzili dzieci, ale te poszły dalej, nie uczyniwszy Rydźom żadnej krzywdy.

Cała rodzina odetchnęła spokojnie. A mały Rydzyk zrozumiał, że tu, gdzie mieszka, jest najlepiej, i już nigdy nie wybiera się w daleką podróż.

## Ostatnie dni lata

Od połowy sierpnia nastaje w przyrodzie dziwna cisza i smutek. Wygląda to, jakby się wszystko smucilo z odejścia do nieba Matki Najświętszej, Przewzyszej Pani, Róży nieziemskiej, Opiekunki ludzi. Pierwsze liście spadają z drzew; pierwsze złoto pojawia się wśród bujnej zieleni. Zaczynają pojawiać się skłębione

chmury, pierzaste, zrazu białe, potem ciemne: wiatr je pędzi w dal. Przewalają się po niebie sierpniowym, co chwila zmieniając kształty: słońce zbladło i odsuwa się od nas. Krzaki malin i porzeczek zczerniały, a były takie wesołe i czerwieniące owocem. Ptaki przestały śpiewać. Myślą o czym innym: przeżywają ostat-

nie dni w kraju. Trzeba rzucić gniazda ojczyście, trzeba rzucić gaje, gdzie im było tak dobrze; zacnie się twarde życie. Długa podróż: trud, nieznanne strony. Walne narady, sejmy, rozmowy — loty próbne, ostatnie nauki pod okiem wytrawnych podróżników, co nie po raz pierwszy za morze się wybierają. Tęsknica włóczy się po polach. Jeszcze barwy lata nie zdążyły spłowieć; jeszcze słońce złoci jabłka i orzechy, ale nie widzialna ręka rozsnuwa leciuchny welon na wszystko, co się śmieje! Odlot ptaków!

I wy, dzieci, rzućcie góry, morze i jary leśne, uroki wsi, z którą żyłyście się przez szereg tygodni. Idźcie ku miastu, ku szkole, ku zimie, ku pracy. Przez ćwiczenie duchowe i cielesne zaprawiacie się do przelotu przez morze życia. I wy przebywać będziecie niejednokrotnie pustynie — a kto wytrwa, temu uśmiechnie się przy końcu drogi cel piękny i godny zachodu. Każdy strzęp wiedzy zdobyty, każde zadanie, dobrze wykonane, zbliżają was do tego celu. Plony lata, owoce, zboże niesiemy w dzień Zielnej do stóp Stwórcy świata. Tak samo jest w dziedzinie ducha. Niesiemy Bogu w ofierze nasze plony: zdobycze nauki, postępu, wynalazków; On jest źródłem wszystkiego, mądrością mądrości. Jemu więc należą się wszystkie nasze dokonane prace.

Jakże wykorzystacie ostatnie kilka dni, które wam pozostały na wywczas? Na pewno zużyjecie ich dobrze. Zechcecie wszędzie zostawić jak najlepszą po sobie pamięć, dać dobry przykład dzieciom na wsi, zostawić trwałą pamiątkę po sobie. Piękne opowiadania, obrazki święte, malowanki, zestawione małym pastuszkom, zgrabne wierszyki, opowiedziane smutnym, chorym kalekom, dobre słowo, rzucone dziadkowi po prośbie... — W końcu — uśmiech, uśmiech miłego, dobrego dziecka. Pozostanie on wśród tych ludzi, wśród których spędzaliście lato... Adaś z miasta jak mówi Helenka, że wsi zawsze uśmiechnięty, jak anioł... To będzie najlepsza nagroda dla was.

Dziecko polskie nie może być samolubne. Odczuwa troski bosego towarzysza wakacji i dzieli się z nim, czym może. Bo ma Matkę — Kościół Katolicki, która go całe życie tuli i jeszcze po śmierci hołubi. Nauczy się dziecko wybiegać myślą za mo-

rza, przez modlitwę i drobne ofiary torować Chrystusowi drogę do serc czarnych, żółtych i czerwonych dzieci. Urządzi, choćby pod olchą przydrożną, wykład o czarnych ludach, o lwach, co rozszarpują misionarzy, o węzach boa, co im się zniecka koło szyi w lesie dziewiczym okręcają. A gdy zadzwonią w kościółku na Anioł Pański, gromadka klęknie i wezwie opieki Maryi-Matki nad wsią murzyńską, gdzie nigdy dzwon ku chwale Panny Najświętszej się nie odzywa. Jak tam smutno być musi, jak beznadziejnie! A gdzie już wzniesie dłoń kapłana choćby najlżejszą kapliczkę — co za radość dla sierot! Nie odczuwają swego sieroctwa, bo wiedzą, że mają Matkę w niebie. Z jakim zajęciem, pasąc Krasulę na ugorze, czytać będą książki, zostawione im ze stosownym objaśnieniem przez dzieci miasta.

A na pożegnanie — zanieście naręcza róż polnych pod przydrożną figurę Bożej Matki. Ubierzcie jarzębiną, lub choćby ślazem i komosą Bożą Mękę na rozstaju. Ile rzewnej wiary ludu mieści się w każdej przydrożnej kapliczce, choćby najprostszej i najuboższej! Bogactwo wdzięku i wielkiej miłości do Ukrzyżowanego i Najświętszej Pani. Uczy się tego musimy i tę miłość zabrać ze sobą do miasta, bo tam jej takiej nie bywa.

Gdy przez całe wakacje starałeś się rozsypywać hojną dłonią skarby ducha i serca, niby perły drogocenne, twemu otoczeniu — idź, pokłoń się Zbawicielowi raz ostatni w drewnianym kościółku, gdzieś całe lato szukał Jego rady i wsparcia, i podziękuj Mu że odjeżdżasz w pełnym zdrowiu, w pełni sił i zapału do nowej pracy:

„O Ty, Przedwieczny, który lat tysiące Co dzień i gasisz i zapalasz słońce.

Wszędzie wycisnął ślady Twojej ręki. Wciąż mi Twe dzieła zastępują drogę.

I któż Ty jesteś, Panie niezmierny? Musisz być mocnym, kiedy ciskasz gromy. Musisz być dobrym, kiedyś miłość stworzył...”

A przed obrazem Matki Częstochowskiej czy nie powiesz! Owszem, patrząc na Jej cudowne, smagle oblicze, nie pożałujesz Jej czoła i chwały, jak jej nie żalowali dziadowie. A ona pobłogosławiła pracę.

M. Mrozowska



Zmęczony gonitwą postanowił Skrzacik trochę odpocząć. Posilił się jagodami, umył w strumyku i wyciągnął wygodnie na miękkim mechu pod wielkim dębem. Było już po południu, gdy się obudził. Usłyszał śpiew i muzykę. Szybko przedarł się przez krzaki leszczyny i wyjrzał ciekawie. Cudny widok przedstawił się jego oczom.

Z lasu z muzyką i śpiewem wysunął się barwny orszak weselny i zbliżał powoli w stronę dębów, rosnących samotnie na polanie.

Na czele, na pięknym siwym koniu, odkrytym czerwonym sukniem, jechał pan młody. Ubrany bogato, pas miał złocisty i lśniący miecz u boku, na głowie czapkę z piórem. Za nim družbowie na koniach. Na dużym wozie ustrojonym w wieńce i kwiaty jechała panna młoda. Piękne długie włosy miała rozpuszczone na plecy, a jej głowę otaczał wianek z kwiatów. Za nią druchny i goście. Z muzyką i śpiewem cały orszak zajeżdżał aż pod dęby święte. Tu młodzi padli do nóg rodzicom, prosząc o błogosławieństwo.

Ojciec rozpoczął ceremonię ślubną. Oprowadził ich siedem razy dookoła dęba, dając pić z jednego kubka i trzykrot-

nie obyspując ziarnem. Przy dźwiękach gęśli i pieśni weselnych włożono im korony na głowy i orszak powoli zaczął się oddalać.

Już odjechali i śpiewy ucichły a Skrzacik stał jeszcze zasłuchany, gdy nagle ktoś go lekko trącił.

— Pit, pit, pit, Skrzaciku, czy mnie poznajesz?

— Wróblek — Świergotek — zawołał mradowany Skrzacik — witaj stary druhu, skąd się tu wziąłeś?

— Lecę z daleka, aż z Gniezna — odparł Świergotek. Wszystkie wróble po lasach ćwierkają o twoich czynach bohaterskich.

Skrzacik zarumieniał się skromnie słuchając tych pochwał.

— A co to za miasto i kto je zbudował?

— zapytał ciekawie.

— Było to bardzo dawno temu — zaczął opowiadać Świergotek. Do Ładnej doliny koło rzeki Warty przyszli trzej bracia: Lech, Czech i Rus. Lech znalazł tu orle gniazdo i postanowił w tym miejscu zbudować miasto, nazywając go Gniezmem. Czech poszedł na zachód i założył państwo czeskie, a Rus na wschodzie — państwo ruskie. Dlatego orzeł biały jest herbem Polaków.

(DCN)



Wspaniałe widowisko góralskie w Warszawie odbyło się 27. sierpnia b. r. Do stolicy przybyły grupy górali śląskich, żywieckich, podhalańskich, spiskich, orawskich, bojkowskich i huculskich, którzy wystąpili z pięknym pokazem pieśni, tańców i obrzędów ludowych polskich ziem górskich. Pokaz odbył się na stadionie Wojska Polskiego w obecności tysięcznych tłumów.

Zdjęcie nasze przedstawia efektowny fragment pokazu góralskiego: — defiladę kapeli góralskiej ze Szczawnicy.



## Imieniny Tatusia

— Czy wy pamiętacie, że za tydzień tatuś ma imieniny? — zapytał Witold.

Ba! czy pamiętają! toż od miesiąca o niczym innym nie myślą i ciągle idą po kątach narady, jak te imieniny uczcić. Zdawien dawna uchwalono, że nie wolno nie kupować. To nie sztuka: przecież pieniądze mają właśnie od tatusia. Chyba, żeby Witold co kupił. On zarabia już, bo daje lekcje i ma własne pieniądze.

Uchwalili więc na wielkiej naradzie, odbytej w kącie podwórza między paką na śmieci, a ścianą bocznego domu, że Janusz wyrznie i zbije z dykty tekę na biurko. Aleks zmajstruje pudełko na papierosy, Bożenka robi ładny szalik, a Witold kupi ulubione przez ojca, a rzadko palone z powodu ceny, cygara. Ale to było mało.

— Prezenty to nic! — twierdził Janusz. — Musi być coś jeszcze. Namalujemy śliczną laurkę, a Bożenka ułoży wierszyk i Aleks go wypisze, bo on ma najładniejsze pismo. Jak zrobi kleks, to tak go zamaluje, że no!...

— No, no! żebyś ja ciebie nie gwizdnał.

— Ty mnie? widzisz to? muskuły, co?..

— Nie kłóćcie się! to nie ma sensu!

— Bo on tak zawsze!

— Kto zaczął? ja?

— Cicho bądźcie! mam myśl! — za-

wołała Bożenka. — Nie napiszemy na laurce wierszyka, jak co roku. Zrobimy inaczej...

Kiedy nadszedł dzień imienin — tatuś popłakał się ze wzruszenia, oglądając starannie przygotowane prezenty. Rozwinął potem laurkę, ładnie niebieską wstążką związaną, i przeczytał ze zdziwieniem zamiast wierszyka, w girlandzie niezapominajek (najłatwiej je malować ze wszystkich kwiatów!) — „Obiecuję Ci Tatusiu, w dniu Twoich imienin — że zawsze będę uczciwym człowiekiem. Nie będę już tak skrytym i zarozumiałym. Witold.“

— „Będę już odtąd pilna i porządna i ani razu nie będę odpisywać zadanie w szkole. A do lekcji mnzyki też nie będzie potrzeba mnie zapędzać. Bożenka“.

— „Nigdy nie będę się kłócił z Januszem i będę uważał na lekcjach i nie będę lobuzował się na ulicy. Aleks.“

— „Ja z Alekssem też nie będę zaczął i będę zawsze posłuszny i pilny. Janusz.“

A pod tym jeszcze pismem Aleksa (bo najładniej pisze!): „I chcemy Ci powiedzieć, że strasznie Cię, Tatku, kochamy i że zrozumiemy, co dla nas robisz“.

— Kochane dzieciaki! — powiedział tatuś, tuląc do siebie całą czwórkę.

I rozplakał się na dobre.

# Fiołek i motyle

Łąka była duża i pachniała miodem od tysięcy kwiatów. Wyglądała jak barwny dywan, który mienił się barwami w promieniach słońca. Była to najpiękniejsza łąka w okolicy.

Gdy powiał letni wiatr, chyliły się trawy. Gdyby wówczas ktoś, czuły na głos przyrody, położył się na łące, usłyszałby może w ciszy chór głosów, które by mu odsoniły niejedną tajemnicę.

W jedną z takich upalnych godzin udało mi się podслуchać rozmowę kwiatów. Tą tajemnicą chcę się z czytelnikami podzielić.

Najpierw bezszelestnie przeleciał nad nią głową jeden i drugi motylek. Był to „admiral”, jakby z aksamitu w czarne i czerwone kropki i bielutki „kapustnik”. Admirał usiadł na trawce i zaczął się na niej kołysać. Wtedy trawka odezwała się śpiewnym głosem:

— Zejdź stąd czym prędzej, admira!e, bo zasłaniasz mi widok! Jestem tu najwyższa ze wszystkich; powiadamiam łąkę, co się na świecie dzieje.

Admiral ściągnął skrzydełka i pofrunął dalej. Obok trawki rósł biało-żółty rumianek. Miał wiele gałązek. Ledwo motyl rozłożył na nim swe skrzydełka, usłyszał słowa, które go mocno zdziwiły:

— Zejdź, motyłu, który lataasz dla własnej przyjemności i nigdy nie potrafisz zrobić nic dla innych! Ja jestem najważniejszą rośliną leczniczą na łące. Nie zasłaniaj mi słońca, bo ono daje mi moc.

Motylkowi bardzo się przykro zrobiło. Sfrunął z rumianku i poszukał wzrokiem kapustnika, by zobaczyć, czy i on tak samo nie ma szczęścia. Biały kuzyn admirała siedział na polnej kapustce i wygrzyzał dziurkę w jednym z jej listków. Admiral przysiadł się do niego. Ale zaćwie rozłożył swoje skrzydła, usłyszał wzburzony głos:

— Co? z całą rodziną tu przyfrunąłeś, kapustniku? Może jeszcze złożysz jajeczka, by twoje gąsienice mnie zupełnie zjadły?

Przerażony admiral odezwał się nieśmiało:

— Ależ ja chcę tylko chwilkę odpocząć!

— Fora ze dwora! — zawołała kapu-

sta. — Idźcie szukać sobie innego miejsca na odpoczynek!

Oba motyle odleciały, mocno zawstydzone.

— Chodź, spróbujemy usiąść na polnej róży — odezwał się admiral. Usiedli ostrożnie na różanym płatku.

— Oh! usłyszeli westchnienie. — Znów jacyś nieproszeni goście! Zabierzecie na swych skrzydłach zapach, który jest najpiękniejszym z zapachów tej łąki. Hoduje go od rana dla mego ukochanego, którym jest śliczny, żółty motylek, zwany „cytrynką”. Uciekajcie! Ja nie dla was pachnę!

I znowu musieli odfrunąć. Postanowili odlecieć z niegościnniej łąki. Ale łąka była wielka. Nie oblecieli jej ani połowy, kiedy poczuli, że słabną i że będą musieli odpocząć. Z wielką obawą poczuli szukać znów jakiej roślinki. Natrafili na skromnego fiołka, będącego może najmniejszym kwiatkiem na łące.

— Ten znów będzie się chwalił, że nigdy nie widział słońca — szepnął złośliwie admiral do kuzyna — ale trudno! Zanim się wyżyli, to my odpoczniemy!

Usiedli. I — o, dziwo! Żadnego westchnienia, żadnego głosu nie usłyszeli. Admirals zerknął do fiołkowego kielicha, czy fiołek nie śpi przypadkiem. Ale nie: napotkał najczystsze spojrzenie kwiatka, a srebrny głosik odezwał się bardzo nieśmiało:

— Witajcie, mili goście! Nareszcie ktoś ze świata zechciał do nas zajrzeć! Nie opuszczajcie nas prędko! Opowiedzcie trochę nowinek! Rozgośćcie się!

Zdziwione motyle rozsiadły się wygodnie.

— Zaraz ci coś opowiemy, miły fioleczku, tylko troszeczkę odpoczniemy.

Wtem dziwny gwar zamaścił południową ciszę. Zbliżał się coraz bardziej, a towarzyszyły mu jęki wszystkich kwiatów.

— Co to jest? — zawołały motyle

— Nie bójcie się! — odparł fiołek — to pewnie człowiek idzie przez łąkę.

Był to człowiek, ale nie sam. W ręku niósł kosę, którą bezlitośnie zaczął kosić łąkę.

Nie bacząc na kwiaty, machał kosą w prawo i w lewo, łyskając stałą w słońcu.

Padły kolejno wysokie i dumne trawy, pożyteczne rumianki, samolubne kapustki polne, pachnące różyczki i wszystkie kwiaty oraz zioła wielkiej pachnącej łąki.

— Uciekajmy! — zawołał kapustnik przerażony.

— Nie — odrzekł admirał. — Tu doznaliśmy gościny; nie opuścimy fiołka w ciężkiej doli.

Kosiarz, widząc motyle, nie chciał im skrócać i tak krótkiego życia. Ominął skromnego fiołka, na którym siedziały. Z całej wielkiej łąki i dumnych roślin został się tylko ten najskromniejszy kwiatek. Bo nie był samolubem, ale dał gościeinę strudzonym wędrowcom.

## Juliusz Wirski

# Lato

Lato — to jest, proszę państwa.

Taka bardzo miła pora,

Kiedy je się gruszeki, śliwy

Od poranka do wieczora.

To jest taki czas rozkoszny,

Kiedy jeszcze dzwonią żniwa

Dusza chłonie zapach zboża

i naprawdę jest szczęśliwa.

W lecie, w rzece, c r o w'lem, żabką

Można pływać, ile chce się,

Potem resztę dnia do zmierzchu.

Zbierać grzyby w gęstym lesie.

Latem — to się, proszę państwa,

Nic nie robi: nie ma książek.

Za to w polu — to się w snopy,

Zyto, jęczmień, owies wiąże.

Potem wraca się na wozie

Do stodoły, do sąsieków.

Jakżeż wtedy i co czytać?

Wszystko kipi aż w człowieku!

Latem nie ma żadnych zmartwień:

Koń, czy kajak — wszystko jedno!

Jak się o tym opowiada.

To dziewczynkom miny rzędna.

Można trochę przybłagować

(Tak nie bardzo) o przygodzie,

Że, na przykład, sum się rzucił

Na płynącą rzeką młodzież...

Jak uwierzą — to i dobrze!

Nie uwierzą? — mam zmartwienie!

Lato — to jest, proszę państwa,

Małe w głowach pomylenie.

Upał, zapach jabłek, gruszek:

Brzęczą pszczoły, ptaki kwilą...

Ach, dlaczego te miesiące

Jedną się wydają chwilą?

Znowu przyjdzie złota jesień.

Będzie w pola, w lasy wabić —

A tu znów się trzeba uczyć.

I czasami tylko bawić!

## Józef Ruffer

# Deklinacja o małej Tereni

Ej, ślicznie się odmienia

To imionko: Terenia!

**Przypadek pierwszy:**

Idzie sobie Terenia,

Wabi ludzkie spojrzenia.

**Przypadek drugi:**

A któż-bo do Tereni

Z chęcią miłą się leni?

**Przypadek trzeci:**

Każdy by chciał Tereni

Przyczynić łąk, przestrzeni...

**Przypadek czwarty:**

Ja również się nie lenię

Błogosławić Terenię.

**Przypadek piąty:**

Ach, bo też w twym spojrzeniu

Niebiański czar, Tereniu!

**Przypadek szósty:**

Nie dziw, że się Terenią

Rodzice opromienia.

**Przypadek siódmy:**

Że każde z nich w Tereni

Złote serduszek ceni.

## Lux

# Wóz

— Znowu zachwycasz się kuzynami?

Ani im w głowie spojrzeć na ciebie! Bo też wielka między wami różnica... — mru czy plug do zapatrzonego w niebo wozu.

— Przez zazdrość to mówisz! — odpowiada gniewne skrzywienie. — Z jednej jestem rodziny, a przyjdzie szczęśliwa chwila, że stanę się zupełnie podobny. Spójrz tylko na czarne niebo z powbijającymi gwiazdami...

— Weale mnie zachwycić nie może — zgrzyta plug — wygląda jak wielki dziurawy parosol, którym noc zakryła ziemię od słonecznego blasku: przez każdy otwór wpada światło — ot i twoje gwiazdy.

— Niemądre porównanie! Patrz lepiej: czy dużo jestem brzdysz od Wielkiego Wozu, świecącego w północnej stronie? Drugi wóz kuzyn, Wóz Mały, ozdobił ślicznie koniec dyszla Gwiazdą Polarną: czyż to nie przypomina mego błyszczącego okucia?

Plug śmieje się pogardliwie: — Daj pokój! Twoje okucie, całkiem inne, bronni cię tylko przed Łysa, lubiącą próbować na twym dyszlu siły złotych zębów. Patrz! — wyciąga w górę smukłe rączki — czyż nie widzisz, że oba Wozv mają złamane

dyszle? Twój zas jest zwykłym, prostym drągiem...

— Aby go złamać — czekam tylko sposobności.

— Lecz to możliwe, że wtedy cały zostanie zdruzgotany i na opał jedynie zdalny!

— Miledz, plugu! Gdy stanę się równy swym niebieskim kuzynom, ocenią to ludzie; dziwne nawet, że dotąd mnie lekceważą; wszak posiadam koła, świecące obreczami, jak cztery wielkie gwiazdy Wozu na niebie!

— Jeżeli nie ma błota — dorzucą plug złośliwie.

— Nie przerywaj!... Okucia przy nasadzie i końcu dyszla, niby trzy pozostałe światła mego kuzyna...

— No, a twoje oczyszczenia do zakładania ordynarnych, konopnych sznurów! A smar, oblepiający brzydki osie?

— Głupstwa mówisz, plugu! Przed złamaniem dyszli, oba Wozy podobnie wyglądały w pracy: zobaczysz — takim samym zostanę..

Pogawędkę przerywa gospodarz, wkładający na wóz w mroku nocy bańki z mlekiem i nabiał, zwykle w sobotę wożony do dalekiego miasta.

— No, byle nie tak mocno! — trzeszczy wóz, trącany blachą baniek — bo przedziurawie!

— Ani się waż! — zachlupało mleko.

— Poskarże się kuzynce niebieskiej!

— Co? ty? — zatknął się zdumieniem.

— Nie słyszałeś o Mlecznej Drodze?

— Prawda! — stuknął wóz gniewnie o kamień, wyjeżdżając z podwórza. Rozżalony, jęczy osi jednego z kół; inne posłusznie turkocą po drobnych kamykach szosy, która bieleje w nadchodzącym ze wschodu poranku. Nagle słońce, mające się ukazać w dalekiej perspektywie drogi, zbyt szybko wychodzi zza widnokręgu i bez zastanowienia, lecz wprost dąży na spotkanie.

— Śpieszy powiedzieć mi „dzień dobry“; nareszcie ktoś mnie uszanował... — błyska wozowi myśl, lecz na radość nie ma już czasu, bo pędzący samochód płoszy reflektorami konia, poczem maszyną i wóz padają w serdeczne, choć mimowolne objęcia.

Tego dnia wieczorem nie ujrzał plug znajomego wozu, ani koło siebie, ani na firmamencie wesoło roziskrzonego nieba. Smutne szczątki wraz ze złamanym dyszlem zgniły samotnie w rowie.

A. Kwiecińska

## Przygoda Mili

Dzieci bawią się na plaży. W gorące słońce tak się żarzy! Chciałyby popłynąć łódką...

— Jest, jest łódka! Tuż, bliźutko, stoi pusta łódz rybaka!

— To mi cud — okazja taka!

Na bok — kubel i łopatka! W łódce tłoczy się gromadka.

Najprzód — Tomek, Janusz — w tyle, a dziewczęta wzięły Mile. Jest i wiosło... To wspaniale! Ale... łódz nie rusza wcale!... Próżne podróżników chęci: ciągle się na miejscu kręci, choć kapitan — Staś, wśród krzyku, pruje wiosłem toń Bałtyku!

— Trzeba łódkę popchnąć z brzegu, potem prędko wskoczyć w bieg!

Dalej, ramię przy ramieniu! Odepchnęli w oka mgnieniu. Nim spostrzegli się — jak strzała, łódz im z rączek się wyrwała i, skapaną w słońca pyłę, płynie, niosąc małą Mile!...

Przeraziła się malutka. Taka duża, czarna łódka! — takie straszne, ciemne morze!... Co to będzie? O, mój Boże!...

Płynął obok rybak stary. Patrzy — nie, to nie do wiary! Samo dziecko w łódce płynie!... Skoczył... Już jest na głębinie... Już po strachu! Koniec mece... Rybak dziecko wziął na ręce!

Biegnie mama, wystraszona: chłopcy krzyczą: — Ocalona!

Za swawolę braciszek mieli burę, co się zowie!

A Milunia nasza mała bohaterka dnia się stała. Dziwili się tatuś, mama, że na morzu była sama. Wszyscy wszystkim wciąż mówili o przygodzie małej Mili.

---

**Czy w szkole, do której pójdziesz,  
nie będziesz mógł uzyskać kilku  
przyjaciół-czytelników  
„Krasnoludków“?**

---

**Adres „Krasnoludków“: Redakcja „Nasze Życie“. Riga — Dzirnavu 57. „Krasnoludki“**